

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

17

Budowa mojego więzienia wskazywała pewną cywilizację. Płyty szklane rżnięte i dość wielkich rozmiarów, wykonane były artystycznie i starannie, jakgdyby w naszych fabrykach. Ale najwięcej intrygowała mnie miseczka napełniona krwią świeżą, którą umieszczono obok mnie. Czy chciano mnie zmusić do jej wypicia, lub też miał to być symbol, losu jaki mnie czekał?

I czy myślano mnie długi czas więzić w tej klatce symetrycznej, gdzie z pewnością wkrótce oszaleć by mi przyszło?

Siedziałem na ziemi, bo żadnego innego w celi nie było sprzętu i starałem się koniecznie skupić przytomność umysłu.

Napróżno usiłowałem się domyślić, w jaki sposób tu się znalazłem. Jak już wspomniałem, w pamięci mojej panował bezład zupełny; od śmierci mojej małej Eeoy, o której ciągle myślałem z wielkim bólem serca, wszystko w mózgu moim pokryte było mgłą, której usiłowania moje nie potrafiły przebić.

Zniechęcony, zaprzestałem myśleć o rzeczach przeszłych, starając się bez straty czasu wynaleźć możliwość ucieczki. Przychodziło mi to z wielką trudnością, bo byłem ciągle jeszcze pod wpływem jakiegoś ciężkiego oszołomienia, jak gdyby po zażyciu trującego narkotyku. Przypisywałem ten stan uporczywemu zapachowi tych przeklętych roślin, ale pomatu ociężałość ta ustępować zaczęła pod wpływem ożywczego powietrza, napływającego do mojej celi.

Mogłem już powstać i obejść kilkakrotnie moje więzienie, mające długości i szerokości około czterech metrów. Ale jakkolwiek badałem skrupulatnie każdą część ścian kryształowych, nie mogłem nigdzie wykryć najmniejszego śladu otworu, drzwi, okien, lub zapadni ukrytej.

Ściany jednolite, a matowe szkło nie mogło ukryć żadnego znaku.

A przecież musiałem wejść tutaj jakimś otworem. Zbadałem dokładnie podłogę, która była również szklana; wszędzie odpowiadał mi ten sam dźwięk stłumiony, wskazujący, że podemną nie było żadnej próżni.

Byłem w położeniu owada, zamkniętego w papierowym pudełku, bezsilny i pokonany, a nie miałem, jak one, możliwości wywiercenia sobie szczypcami choćby najmniejszego ujścia. Wpadłem wkońcu na myśl, że może uda mi się rozbić w którym miejscu szkło ściany, lub przeciąć je, posługując się miseczką, również szklaną.

Doprowadziłem tylko do tego, że miseczka roztrzaskała się w drobne kawałki, a ściany potężnej grubości i siły nie zostały nawet uszkodzone. Do tego wszystkiego jeszcze pokaleczyłem sobie boleśnie ręce.

Byłem wściekły i zarazem upokorzony w najwyższym stopniu. Moja miłość własna, doświadczonego inżyniera i badacza, ucierpiała głęboko, zgnębiona przekonaniem, że marna tafla szklana, może się oprzeć mojej sile.

Głód, który coraz natęczył mi się we znaki, pogarszał tylko moje zdenerwowanie. Ale napróżno rozmyślałem i kombinowałem, nie mogłem wpaść na jakąś myśl zbawienną. Usiadłem więc znowu na ziemi i tak przepędziłem ze dwie godziny, nie myśląc już, nie czując, jak zwierzę tropione.

Musiałem widocznie zasnąć, nie zdając sobie z tego sprawy, bo po jakimś czasie nagle jasność i energia zrodziła się w moim umyśle.

Przypomniałem sobie o starym doświadczeniu, jakim nas zabawiał nasz profesor fizyki w piątej klasie i do którego zacny człowiek przywiązywał wielką wagę.

„Sposób krajania szkła bez pomocy dyamentu“.

Odetchnąłem z ulgą na to przypomnienie z dziecinnych lat! I oto, jak postąpiłem; zwinąłem w zbitą kłębek róg mojej sukni pierzastej i zacząłem energicznie nacierać jedną część ściany kryształowej. Po piętnastu minutach takiej pracy powierzchnia szkła rozgrzała się mocno, a suknia moja o mało nie buchnęła ogniem.

Wtedy rzuciłem szybko kilka kropli krwi na to

miejsce rozgrzane. Nastąpił syk, potem lekki trzask. Nagłe oziębienie części rozpalonych wywołało lokalne uszkodzenie kryształu. Natychmiast zabrałem się do tej samej roboty w innym miejscu, potem jeszcze we dwóch innych, z tym samym dobrym skutkiem.

Pot dużymi kroplami spływał mi z czoła, ale z radością zauważyłem, że pęknięcie szkła rozciągało się na kilkadziesiąt centymetrów. Wystarczy teraz tylko pchnąć silnie, aby ta tafla wypadła na zewnętrzną stronę.

Nie spieszyłem się jednak z wykonaniem tego ostatecznego kroku, zatrzymany myślą, że może ostrożnie będzie oczekiwać się nocy.

Brzęk upadającego szkła mógł obudzić czujność strzegących mnie nieznanym ludzi, czy też potworów.

Ale równie dobrze wykryć mogli projektowany plan ucieczki, gdyby mi się spodobało teraz odwiedzić mnie w moim więzieniu. Nie miałem więc wyboru; należało działać na los szczęścia.

Uderzyłem silnie kolaniem o ścianę porysowaną, odłamany kawał upadł dość lekko, bez hałasu.

Do celi mojej powietrze i światło wpłynęło potokami.

Uszczęśliwiony tym nadspodziewanym rezultatem, ostrożnie, aby się nie pokaleczyć, wyslizgnąłem się otworem i znalazłem się na platformie tej samej wysokości co podłoga mojego więzienia. Właściwie znajdowałem się na szczycie gigantycznej budowli, rodzaju wieży, mającej około sześćdziesięciu metrów obwodu, zbudowanej z tego samego materiału, co moje więzienie.

Wnętrze tej wieży było puste, głęboki, ciemny dół rozciągał się pod moimi stopami, tylko na brzegach mieściły się liczne cele, zupełnie podobne do mojej, w miarowych odstępach, przypominające otwory na wieżach kościelnych, służące za schronisko dla ptaków i nietoperzów.

Ogarnęła mnie ciekawość zbadania sposobu zamykania tych cel. Tak, jak już przypuszczałem, każda ściana rozsuwała się, ześlizgując się w wązkie wyżłobienie, a przytrzymana była jedyną zwyczajną zasówką z metalu czerwonego, błyszczącego, jak miedź. Przypominało to zupełnie rozsławne ściany klatek dzikich zwierząt w menażeryach.

Otworzyłem kilka takich klatek, sąsiadujących z moją, były puste, tylko na środku każdej z nich ujrzałem te same miseczki napełnione krwią.

W niektórych z nich krew była już wypróżniona, lub też skrzepła i zczerniała, ale ujrzałem kilka napełnionych do połowy, tak jak gdyby przed odejściem nieznanym jakiś gość wypróżnił resztę.

Platforma, na której stałem, była pusta, niczem nie zabezpieczona, tak, że patrząc wpróżnię, rozciągając się pod moimi stopami, doznawałem zawrotu głowy. Naliczyłem trzydzieści dziewięć pięter w kształcie kolumn niewielkich, każda innej barwy. Każdą z tych kolumn przegradzało wgłębienie ciemne, zupełnie równych rozmiarów i kształtów. Do trzydziestego dziewiątego piętra promienie słońca już nie dochodziły, w zalegającym jednak cieniu domyśleć się było można, że wznoszą się jeszcze wyżej.

Dolna i środkowa część tego monstrualnego ula oświetlona była jaskrawymi promieniami słońca, a z dołu z niezmierzonej próżni dochodził mnie dźwięk stłumionych głosów.

Z przerażeniem zastanawiałem się, że ta gigantyczna kryształowa wieża ciągnie się może w nieskończoność, aż do wnętrza samej planety i napróżno zastanawiałem się nad celem, do jakiego służyć mogły te głębokie kryjówki, gdzie można było zachować z łatwością setki tysięcy posagów.

Wszystkie kolumny miały tę samą formę; słupy były zaokrąglone, bez żadnych ozdób, tylko dwie kule u dołu i góry służyły za podstawę i kapitel.

Szkło kryształowe, z którego zrobione były, lśniło się tęczą kolorów, jak wielkie drogocenne kamienie.

Nie mogłem oderwać oczu od tego niezwykłego widoku, fosforyczny blask tych kolumn hipnotyzował mnie do tego stopnia, że z wysiłkiem skoczyłem w tył, aby się nie dać pociągnąć tajemniczej przepaści.

Nie mogłem sobie w żaden sposób wytłumaczyć istnienia tych dziwnych kryjówek; najprawdopodobniej znajdowałem się wobec jakichś katakumb nadpowietrznych lub obszerne cmentarzyska; każda z kryjówek zawierać musiała zabalsamowane lub też spopielone zwłoki Marsjana z dawnych lat. Jednakże wiele drobnych szczegółów zbijało to przypuszczenie.

Olbrzymia ta arena nie posiadała wyglądu opuszczonych grobowców, gdzie chętnie rosną rośliny lubiące twarde podłoża starych ruin. Zabudowanie kryształowe posiadało czystość i połysk rzeczy nowych i dobrze utrzymanych.

Nie usiłowałem dłużej rozwiązywać tej dziwnej zagadki, którą przyszłość wytłumaczy mi sama, oderwałem się przemocą od fascynującego uroku zawrotnej przepaści i zwróciłem spojrzenie na pejzaż, który rozciągał się przedemną. Nigdy jeszcze oczy moje, przyzwyczajone do najczudniejszych widoków, nie oglądały czegoś podobnego.

Ciemno-fioletowe morze o falach połyskujących różowo, jak kwiat jabłoni, szumiało łagodnie pod zębata skała, podobne do łąnu rozkwitłych fiołków, zmieszanych z krzewami fantastycznie pokręconych koralii.

Olbrzymie wgłębienia fiordów i wzgórze o formach dziwacznych, przypominające wyglądem jakieś gigantyczne przedpotopowe rośliny i zwierzęta, o jasno żółtym, żywym kolorze, przegłębiały się w spokojnej, zaledwie lekkim drżeniem poruszanej fioletowej toni.

Gdzieś w dali wznosiła się wysoka góra o ostrych szczytach i smukłym wierzchołku, tonącym w rdzawych oparach. Był to pierwszy wulkan, jaki ujrzałem na Marsie.

Powiodłem spojrzeniem po wesołym pejzażu, wstępującym na pierwszym planie. Dwanaście kryształowych wież, podobnych do tej, na szczycie której się znajdowałem, wyrastało z głębi ciemnego morza, tworząc wyspę, grającą wszystkimi kolorami tęczy.

Zauważyłem, że na zewnątrz wieże te nie posiadały żadnego wyjścia; był to ten sam rząd kolumn i arkad, lecz bez głębokich kryjówek.

Ich struktura przypominała mi gdzieś utrwalone szkice z wieży Babel, takie, jakie się spotyka w starożytnych bibliach Royamonta.

Wszystko to, co mnie otaczało, było istną czarodziejską, fantastyczną bajką.

Wieża, na której przebywałem, wznosiła się tak, jak inne, ponad morzem i nie mogłem zrozumieć, jakim sposobem się do niej dostać mogłem.

Zapagnąłem przebieść całą platformę; po przeciwległej stronie stał jeszcze rząd wież kryształowych, a w dali widniała ciemna plama wód, nad którymi unosił się błękitnawy opar. Domyśliłem się, że to może być ląd. Byłem ciągle pod wrażeniem tego bajecznego, pogodnego widoku. Gdyby nie głód, który męczył mnie coraz dotkliwiej, zaniechałbym wszelkiej myśli ucieczki z tej zaczarowanej krainy. Cisza i spokój niczem niezmacony otaczał mnie dokoła; nie widziałem ani nie słyszałem nikogo, nikt mnie nie poszukiwał, nie czuwał nademną.

Z westchnieniem szczerzego żalu oderwałem się od tej kontemplacji i chwilowego zapamiętania się, aby powrócić do rzeczywistości i rozpocząć dalszą walkę o życie i wiedzę.

Raz jeszcze przebiegłem dokoła platformę; rozumując logicznie, przypuszczałem, że aby dostać się na niższe piętra istnieć tu musiały wewnętrzne schody, drabina, lub rodzaj jakiejś windy.

Ale myliłem się z gruntu w tem przypuszczeniu i powierzchnia platformy gładka i równa zdawała się być ulana z jednej sztuki. Jeżeli wogóle istniały jakieś ukryte zapadnie, były one urządzone w sposób bardzo misterny i przebiegły, nieuchwytny dla oka ludzkiego.

Byłem trochę zawiedziony w tych poszukiwaniach, ale bynajmniej nie zniechęcony do dalszych usiłowań. Jednak należało wykorzystać jeszcze resztę energii i sił, które słabnąć zaczynały pod naciskiem głodu i pragnienia. Myślałem, że jeżeli uda mi się dostać do jednej z kryjówek otwierających się zaraz pod platformą, dojdę gdzieśkolwiek, bo przecież te ciemne klatki musiały mieć wyjście jakieś. Cała sztuka polegała na tem, aby się do nich dostać. Niedługo szukałem sposobu.

Wyjąłem z ram jedną tafel szklaną, zamykającą celę, rozbiłem ją i wyrwałem zawias z czerwonego metalu.

Byłem więc w posiadaniu sztaby silnej, długości kilkunastu centymetrów, która mi posłużyła do wyżłobienia dołu dość głębokiego w podłodze kryształowej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jedyny w Krakowie, Zakład pogrzebowy „Concordia“ Jana Wolnego
który posiada
własny wyrób trumien **=====** **Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny)** **=====** **Telefon Nr. 331.**